

Jako że trudno na czterech danyh mi do dyspozycji stronach omówić względnie wnikliwie ze wszech miar godne wnikliwej analizy przedstawienia Teatru im. Słowackiego na scenie Teatru Narodowego, pozwolę sobie Czytelnikowi zaszerwować nie „zbiorczą recenzję” — a felieton o występach znanego teatru z Krakowa. Na wybór tej formy ma również wpływ potrzeba pewnego wyznaczenia, jakie wizyta krakowskiej trupy zrodziła.

Krakowianina łatwo rozpoznać można po klubowych predykcjach: zagorzałe kibicowanie „Wiśle” lub „Cracovii”. Jako ex-krakauer, i autor nieniejszego jestem kibicem, kibicem piłkarskiej drużyny „Wisły”. Zostałem nim w zamierzonych latach, ale w zgoła osobliwych okolicznościach. Było to w pierwszym dniu szkoły. Z dużą treścią przekraczałem próg klasy I, gdy nagle znalazłem się pomiędzy Scyllą i Charybdą. Po obu stronach drzwi stałi moi przyszli koledzy, stawiając mnie od razu w obliczu dramatu wyboru: „Za kim jesteś — padło pytanie — za „Wisłą” czy za „Cracovią”? Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, o co chodzi, ale odpowiedź trzeba było dać natychmiastową! Popatrzyłem w prawo, potem w lewo. Za „Wisłą” — odpowiedziałem, albowiem takiej odpowiedzi żądali chłopcy z

rywające widza. Bronisław Dąbrowski znalazł bardzo trafną formułę inscenizacyjną, odmienną — jak sam stwierdza — od schillerowskiej, polegającą na zmodyfikowaniu dzieła Bogusławskiego w duchu umowności, stylizacji i ludowego prymitywu; subtelnie per-syflowanego. Znakomicie temu zamierzeniu służyła scenografia Adama Kiliąna, daleka od weryzmu folklorystycznego, punktująca konwencje umowności; ruchome elementy dekoracji ułatwiały „gospodarowanie” przestrzeni sceny, zwłaszcza gdy opanowywał ją tłum roztańczonych krakowiaków i górali. Dąbrowski dał pokazową lekcję komponowania ruchu scenicznego, budowania scen masowych oraz operowania zbiorowością aktorów, co jest zjawiskiem, niestety, unikalnym w „awangardowym” teatrze polskim.

Ramy widowiska stanowiła konwencja ludowych obrzędów: dożynki, przybycie górali, gdy weselne, a więc barwa, taniec, śpiew — to jego dominanty. Intryga śpiewogry Bogusławskiego została lekko sparodiowana i służyła raczej za pretekst do tanecznych korowodów i różnych form ludowych obrzędów i obyczajów. Ani na moment nie odczuwaliśmy tu operowych wtretów czy kalkowania wątpliwej autentyczności wzorów „Mazowsza”. To był teatr, przez którego filtry przepuszczony został strumień narodowej tradycji i bogactwo kultury ludowej. Tylko pedant będzie wymagał od aktora teatralnego, by śpiewał jak tenor bohaterski, a aktorka dysponowała umiejętnościami primabaleriny. Istotnie zdarzały się różne ustępki, ale nie psuły one wdzięku całego widowiska. Z tłumu odtwórców ról krakowiaków i górali wyróżnili się zwłaszcza Bryndas (Wiktor Sadecki), Miechodmucha (Mieczysław Jabłoński), Basia (Aleksandra Górską) oraz Dorota (Alicja Matusiakówna). W konkurencji tańca i śpiewu wyraźnie górowali przybysze z Podhala, co jest jakąś kompensatą za poniesioną porażkę w sporze z krakowiakami. Przedstawienie było manifestacją przyjaźni warszawsko-krakowskiej (okazjonalny kuplet), mimo że problem stolicy dla krakowian w dalszym ciągu, tusze, pozostał nierozstrzygnięty.

Przyjaźń bywa, jak wiadomo, wystawiona na najcięższe próby. Po pięknym preludium, drugi wieczór z Teatrem im. Słowackiego przyniósł przykry zawód. Słowo wstępne autora adaptacji i reżysera zarazem, Bronisława Dąbrowskiego — pomieszczone w programie — zapowiadało interesujące przedstawienie. Ale raz jeszcze sprawdziła się zasada: teoria, koncepcje — owszem, ale w teatrze rozstrzygająca moc posiada nade wszystko — praktyka. Spektakl „Jego Ekscelencji Błazna” zaprzecza wyłożonemu *expressis verbis* zamysłowi reżysera. Wspomiałe, wtrącające opowiadanie Dostojewskiego „Wież Stiepanczykowa i jej mieszkańcy” zostało przeobrażone w komedię, historię wesela, ale bardzo przez to — posługując się słowami Wyspiańskiego — przykra. Doskonale pojmuje bezzasadność sporów na temat: powieść — adaptacja z perspektywy fotela na widowni teatralnej; lecz bezkarność przerabiaczy, mieniących się „adaptatorami” musi mieć swe granice. Nie rozum'em motywów, które skłoniły Dąbrowskiego do tak ryzykownego przedsięwzięcia. Siegać po prozę Dostojewskiego po to, by śmieszyć i tumanić. Zaiste dziw to nad dziwy.

Przedstawienie „komedii” Dostojewskiego — Dąbrowskiego jest zwykłym niewypałem. Po prezentacji nowoczesnego co się zowie teatru w „Krakowiakach i góralach” nagle cofneliśmy się gdzieś w okolice XIX wieku; w rodzajowość, pseudorealizm (wykorzystywanie, tak zdawałoby się skompromitowanych, efektów akustycznych, jak grzmoty, czy wizualnych — padający deszcz, błyskawice), stosowanych ze śmiertelną — komedia! — powagą. Doprawdy dziwiłbym się, gdyby do tego aktorzy grali dobrze. Juliusz Grabowski

(Foma Opiskin) zagrał postać z komedii Moliere; był śmieszny, a nawet jowialny. Świetny aktor, Wiktor Sadecki właściwie nie wiedział, kim jest w jestestwie swoim. Właściwą proveniencję bohaterów Dostojewskiego uświadomili sobie jedynie tylko Mizyńczykow (Wojciech ZiętarSKI) i Sergiusz (Jerzy Kamas). Bezstylowości przedstawienia znakomicie sprzyjała scenografia Urszuli Gogulskiej.

W antrakcie podśledzałem fragment wymiany wrażeń: „Dobrze, państwo, się bawicie?”. Będąc pewny, że usłyszę odpowiedź twierdzącą, nie zdzierzyłem i co sił uskokczyłem w inny rejon westybulu. Publiczność, szczerze zapelniająca widownię Narodowego, gromkimi brawami dziękowała za rozrywkę, co jest aż nadto wymownym świadectwem niepowodzenia, kompromitacji przedsięwzięcia Teatru im. Słowackiego: dla mnie znaczyły one tyle samo co okrzyk: „Kraków — Dziady!”. Na kolejne przedstawienie wybie-

2xKRA

ALBOŚMY TO JACY TACY...

Stawomir
Kowalewski

prawej strony; rośniejsi i bardziej zawadiacy. W ten oto sposób zostałem przypisany „Wiśle” na wieki.

Partykularny szowinizm „krakowskiej emigracji” do białości rozpala się z dwóch powodów: o ile do Warszawy przyjeżdżają piłkarze którejs z krakowskich drużyn oraz — last not least — w czasie wizyty gościnnej krakowskich teatrów. Ale niechże już drogi piłkarstwa i teatru rozejdą się. Ciąg dalszy poświęcony będzie wyłącznie temu ostatniemu. Zwłaszcza, że tu nikt z Ia. wybierać mi nie kazał. W czerwcu oklaskiwałem gorącą „Nieboską” podczas wizyty Teatru Starego, teraz śpieszyłem klaskać Teatrowi im. Słowackiego.

Z Placu św. Ducha na Plac Teatralny, spod boku niejako Fredry przed oczy Bogusławskiego przywędrowali „Krakowiacy i górale”. Jakiś czas temu pisałem był o nie całkiem udanym spektaklu Fredry w Teatrze Narodowym, dzisiaj mam przyjemność omówić świetne przedstawienie komedii-opery Bogusławskiego. Dużo, dużo paraleli nasuwają te dwie realizacje, ale brak miejsca nie pozwala na ich eksploatację. Zresztą widzowie wpadli zapewne na ten sam trop. W każdym razie krakowianie wygrali wysoko na punkty.

Premiera „Krakowiaków i górali” w Teatrze im. Słowackiego miała miejsce trzy lata temu; nie wiem, czy znajdują się oni w dalszym ciągu na liście repertuaru, ale chyba tak, gdyż jest to widowisko po-

rałem się pełen złych przeczuć. A co będzie z Szekspirem?

Lidia Zamkow aby snadź dowiedzieć, że krakowianie to nie „Jacy tacy” wykonała nowoczesną i racjonalistyczną wizję inscenizacji „Makbeta”, inspirowaną przez „egzystencjalistyczne” odczytanie tragedii Szekspira, wedle onegdajszego pomysłu Jana Kotta. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, co dzisiaj autor „Szkiców o Szekspirze” sądzi o aktualizujących interpretacjach klasyki. Otóż w „Teatrze” (nr 18) stwierdza on: „... aktualizacja jako zasada staje się mordercza, przekreśla trzy czwarte repertuaru i życie codzienne teatru”. Na pytanie Marii Czanerle, kiedy doszedł do tego wniosku, odpowiedział: „Niedawno...”. Ów „Teatr” ukazał się przecież już po premierze krakowskiej u Zamkow.

Dramat władzy, artykulacja prawa cykliw w historii jako pendant do polemiki z okresem „będnów i wypaczeń”. To miało brzmieć aktualnie i bulwersująco. Aby zrealizować ten zamysł, trzeba było zrezygnować z przekładu Paszkowskiego i skorzystać z translator-skich usług Krystyny Berwińskiej oraz zaproponować własny układ tekstu, co reżyser sama uczyniła. Wszystko to razem zabrzmiło nudnie, anachronicznie, a nawet wesoło niekiedy. Wydaje się, iż najautentyczniej reagowali gimnazjaliści, wolni od obowiązku celebry, którzy sardonicznie śmiali się w „nieodpowiednich momentach”. Spektakl Teatru im. Słowackiego ma niewątpliwie wiele pięknych sekwencji, sensownych rozwiązań, tym bardziej przeto widoczne są błędy stylistyczne. Przede wszystkim kreacja Leszka Herdegena (Makbet) jest nieudana; to nie tragiczny tan Kawdor, a strywilizowany bohater dramatów Sartre'a. Znakomicie natomiast obsadziła Lidia Zamkow w roli Lady Makbet Lidie Zamkow. Żenująco rozwiązane zostały sceny z wiedźmami, duchem Banka oraz introspekcyjne epizody Makbeta, wulgarnie ilustracje jego monologów, które przytłaczały słowo Szekspira. Przedstawienie pozbawione było wzniosłej tragiczności i głębi; nie wniosło nic istotnego. Ponieważ z konieczności nie mogę wyjść poza opłotki ogólników i należyście udokumentować swych zastrzeżeń, ograniczę się do tych uwag. Widownia aplaudycznie oklaskiwała zespół podczas tzw. ukłonów, mnie jednak było bardzo przykro. Tytuł felietonu w zamierzeniu miał wyrażać dumę i ukontentowanie, tymczasem zabrzmiał jak ironia. Co zrobić, w teatrze jak w sporcie: raz się odnosi sukces, a raz, dwa... przegrywa. Tak niestety bywa.